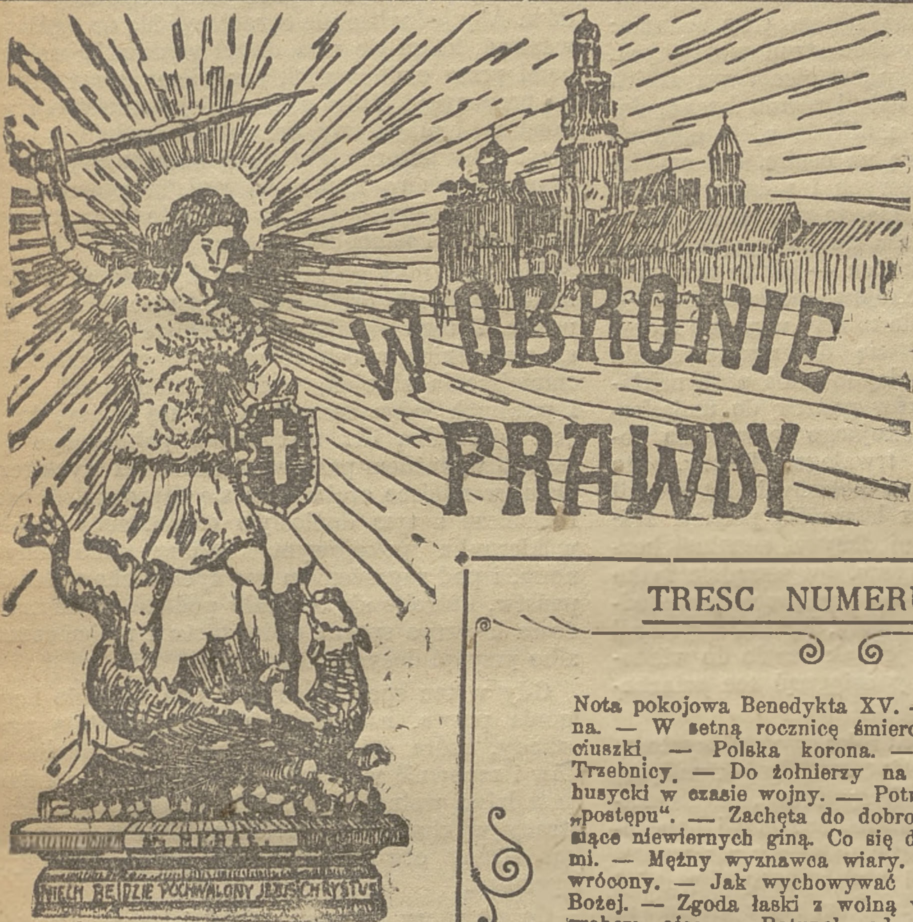
Nr. 10. Kraków, Październik 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków, ul. Franciszkańska 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TRESC NUMERU X-go:

Nota pokojowa Benedykta XV.

Im dłużej ludzkość pławi się we krwi, tem żywsze i powszechniejsze jest oczekiwanie pokoju. Do pokoju wzywa znowu ludzkość Papież Benedykt XV.

Czytelnicy „Polskiego Siewu" zapewne sobie przypominają, jak obecnie panujący Papież Benedykt XV. nawoływał już kilkakrotnie do pokoju, zwracając się ze swojem poważnem napomnieniem tak do ludów, jak i do panujących. Niestety głos jego nie odniósł pożądanego skutku. Rzeź powszechna nie ustała.

W miesiącach letnich wiele hałasu narobili socyaliści swojemi przygotowaniami do zjazdu w Sztokholmie. Kongres ten miał przygotować wszystko do pokoju. Niestety, nadzieje łączone przez niektórych z tym zjazdem w zupełności zawiodły, tak dalece, że nawet ten projektowany zjazd nie może dojść do skutku.

A przeto wśród powszechnej rzezi, wśród powszechnego zniechęcenia długiem trwaniem wojny i wśród ogólnego oczekiwania pokoju wystąpił z nową propozycyą pokojową Ojciec św. Benedykt XV. Rzucił znowu słowo pociechy ginącemu światu. Obecna nota pokojowa Papieża zawiera już nietylko ogólne zachęcenie do pokoju, ale przedstawia szczegółowe warunki, na które powinny się zgodzić obydwie strony wojujące. Ze względu na wielkie znaczenie, jakie posiada pismo

Ojca św., podajemy je tutaj w dosłownem brzmieniu.

NOTA POKOJOWA PAPIEŻA.

Od początku naszego pontyfikatu wśród okropności wojny, która się rozpętała nad Europą, wytknęliśmy sobie przedewszystkiem trzy zadania: Zachować bezstronność wobec stron wojujących, jak to przystoi temu, który jest ojcem wszystkich i który wszystkie swoje dzieci równo kocha; dążyć niestrudzenie, by możliwie wiele dobrego zdziałać, bez oglądanie się na osoby, bez czynienia różnicy narodowościowych i religijnych, jak to nam przepisuje ogólna zasada miłości bliźniego, jakoteż najwyższa godność duchowa, poruczona nam przez Chrystusa; w końcu — jak to w równej mierze wymaga nasze pokojowe posłannictwo — nie zaniedbać niczego, o ile to leży w naszej mocy, coby mogło przyczynić się do przyspieszenia końca tej nędzy przez podejmowanie prób nakłaniania ludów i naczelników państw do umiarkowanych decyzyj i do spokojnego rozważenia pokoju sprawiedliwego i trwałego. Każdy, kto w ciągu trzech minionych bolesnych lat śledził naszą działalność, mógł z łatwością poznać, żeśmy pozostali wierni naszej decyzyi zupełnej bezstronności i naszemu dążeniu, by wszędzie tylko dobrze działać, ale taksamo bez przerwy upominaliśmy wojujące ludy i rządy, by znów poczuli się braćmi. Nie wszystko jednak doszło do wiadomości, cośmy uczynili, by osiągnąć ten szlachetny cel.

Przy końcu pierwszego roku wojny wystosowaliśmy do spierających się narodów jak najżywsze upomnienie i wskazaliśmy drogę, której należy się trzymać, by dojść do trwałego i honorowego dla wszystkich pokoju. Niestety nie wysłuchano naszego wołania i wojna toczy się dalej przez 2 lata w sposób zawzięty, stała się nawet okrutniejszą i objęła jeszcze dalsze lądy i morza, ba, nawet powietrze. Widziało się, jak spustoszenie i śmierć spadają na nieobronne miasta i na spokojne wsie i na ich niewinną ludność. I dziś nikt nie może sobie wyobrazić, jak wzmogą się jeszcze i podwoją cierpienia wszystkich, jeżeli dalsze miesiące, a co gorsza jeszcze lata, przyłączą się do tych krwawych trzech lat. Czy świat cywilizowany ma stać się polem śmierci? Czy okryta sławą i kwitnąca Europa, jakby porwana ogólnym szałem, dążyć ma ku przepaści i przyłożyć rękę do zniszczenia siebie samej?

My, którzy nie mamy żadnego osobnego celu politycznego, którzy nie użyczamy ucha podszeptom, ani też samolubnym dążeniom którejkolwiek ze stron wojujących, lecz jako wspólny ojciec wszystkich wiernych, kierujemy się wyłącznie najwyższym poczuciem obowiązku, usilnemi prośbami naszych dzieci, błagających o nasze pośrednictwo i o nasze pokój siejące słowo, którzy kierujemy się głosem ludzkości i rozsądku, w tej groźnej sytuacyi, wobec tak poważnego niebezpieczeństwa ponownie wnosimy okrzyk pokojowy i ponownie zwracamy się z usilnem napomnieniem do tych, w których ręku spoczywają losy narodów. Aby jednakże nie ograniczyć się do ogólnych wezwań, które się nam dotąd wydawały wskazanemi przez okoliczności, pragniemy teraz przejść do propozycyj, które są bardziej konkretne i wykonalne, i pragniemy wezwać rządy ludów wojujących, by porozumiały się w następujących punktach, które są konieczną podstawą sprawiedliwego i trwałego pokoju, a rządy te mogą te punkty ustalić i uzupełnić w szczegółach.

Pierwszą ideą główną musi być: że w miejsce materyalnej siły oręża wejdzie w moc siła moralna prawa. Z tego wynika sprawiedliwe porozumienie się wszystkich, w celu równoczesnego i wspólnego zmniejszenia zbrojeń, według konkretnych reguł i pewnych zabezpieczeń aż do tej miary, która jest niezbędną dla utrzymania publicznego porządku w każdem państwie i która też wystarczy. Dalej w miejsce oręża musi się zaprowadzić sądy rozjemcze z tym doniosłym celem, żeby działać w kierunku pokojowym, według umówionych norm, i pod zagrożeniem pewnych niekorzyści dla państw, któreby się ociągały poddać międzynarodowe kwestye sporne sądownictwu rozjemczemu, albo przyjąć decyzyę tego sądu.

Gdy w ten sposób przywrócona zostanie hegemonia prawa, należałoby usunąć wszelkie przeszkody, które stoją na drodze porozumienia ludów i zapewnić w równej mierze silnemi regułami prawdziwą wolność i wspólność mórz. To z jednej strony wykluczałoby wiele konfliktów, z drugiej zaś strony otworzyłoby nam źródła dobrobytu i postępu.

Co się tyczy naprawy szkód i zwrotu kosztów wojennych, to nie widzimy innego środka dla rozwiązania tej kwestyi, jak ogłosić ogólną zasadę zupełnego i wspólnego zrzeczenia się, któreby zresztą było uzasadnione względem na nieskończone dobrodziejstwa rozbrojenia, a to tembardziej, że dalszy ciąg takiego rozlewu krwi nie mógłby się tłómaczyć jedynie pobudkami gospodarczemi. Gdyby istniały specyalne motywy dla specyalnych wypadków, to należałoby je sprawiedliwie i słusznie rozważyć. Jednakowoż te umowy pokojowe ze swemi nieskończonemi korzyściami nie są możliwe bez zwrotu obsadzonych teraz obszarów. A więc Niemcy powinni zupełnie opróżnić Belgię i dać rękojmię jej zupełnej niezawisłości politycznej, wojskowej i gospodarczej wobec każdego państwa. Taksamo powinny być opróżnione obszary Francyi, inne zaś strony wojujące powinny taksamo postąpić z koloniami niemieckiemi. Co się tyczy spornych kwestyj terytoryalnych, np.

między Włochami a Austryą i między Niemcami a Francyą, to można spodziewać się, że strony spierające się, ze względu na nieocenione korzyści, jakie przyniesie pokój trwały w razie rozbrojenia, będą gotowe zbadać te kwestye w duchu pojednawczym i uwzględnić przytem dążenia narodów według miary sprawiedliwości i możności, jakeśmy to już przy poprzedniej sposobności powiedzieli, zaś interesy odrębne podporządkować pod dobro ogólne wielkiej wspólnoty ludzkiej.

Ten sam duch słuszności i sprawiedliwości powinien kierować zbadaniem innych kwestyj terytoryalnych i politycznych, zwłaszcza tych, które odnoszą się do Ormian, do państw bałkańskich i do obszarów, które należały do dawnego Królestwa Polskiego, a które ze względu na swe szlachetne dziejowe tradycye, zwłaszcza zaś za znoszone podczas tej wojny cierpienia, słusznie powinny pozyskać sympatye narodów.

Oto główne zasady, na których, jak sądzimy, musi się oprzeć przyszłe nowe uporządkowanie narodów. Są one takie, że uniemożliwiają powrót podobnych konfliktów i przygotowują rozwiązanie spraw gospodarczych tak ważnych dla przyszłości i dobrobytu materyalnego wszystkich państw wojujących.

Ożywia nas błoga nadzieja, że te zasady będą przyjęte i że dożyjemy chwili, kiedy skończy się okropna wojna, która coraz bardziej staje się bezużyteczną rzezią. Wszak cały świat uznaje, że honor oręża zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie nie jest naruszony. Więc użycz Pan ucha Naszej prośbie, wysłuchaj Pan wezwania ojcowskiego, które imieniem Boskiego Zbawiciela i księcia pokoju do Pana wystosowujemy. Pomyśl Pan o wielkiej odpowiedzialności wobec Boga i ludzkości. Od decyzyi pańskiej zawisł pokój i radość mnogich rzesz, życie tysiąców młodych ludzi, słowem szczęście ludów, a jest bezwarunkowym obowiązkiem Pana ludom tym wyświadczyć dobrodziejstwo. Oby Pan Bóg natchnął Pana decyzyą, zgodną z Jego najświętszem przykazaniem, oby niebo sprawiło, byś Pan zasłużył nietylko na poklask współczesnych, lecz zapewnił sobie także u przyszłych pokoleń piękne imię tego, który pokój sprowadzi. Co się Nas tyczy, którzy w ścisłej modlitwie i pokucie łączą się ze wszystkiemi wiernemi duszami, łaknącymi pokoju, to błagamy Ducha Świętego o światło i radę dla Pana.

Z Watykanu, 1. sierpnia 1917.

Podpisano: **Benedykt XV.**

PRZYJĘCIE NOTY PAPIEŻA.

Wszystkie ludy wojujące i neutralne przyjęły notę Papieża z wielką wdzięcznością i błogą nadzieją, że przyczyni się do przyspieszenia pokoju. O ile nie mylą nas doniesienia, wszystkie rządy okazały ochotę do sumiennego i gruntownego zbadania noty i do dania na nią odpowiedzi Stolicy Apostolskiej. Ale już teraz można zauważyć, że żadna strona nie spieszy się z daniem odpowiedzi. Obydwie strony zajmują jeszcze stanowisko wyczekujące. Jeden tylko Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, który głosi, że Ameryka wypowiedziała wojnę nie dla korzyści materyalnych, lecz dla wywalczenia wolności narodom, nie czekał, lecz dał pierwszy odpowiedź Papieżowi. Przebija z niej wielka stanowczość i odwaga! Główną treścią tej odpowiedzi jest to, że pokój wtenczas będzie możliwy, gdy Niemcy same uchwycą ster rządów w swoje ręce, i gdy złamią pruski militaryzm. Tekst odpowiedzi Wilsona przytaczamy dosłownie.

ODPOWIEDŹ WILSONA.

Odpowiedź rządu amerykańskiego na notę Papieża opiewa:

Każde serce, niezaślepione i nie zatwardziałe jeszcze wskutek strasznej wojny, musiało się wzruszyć tkliwym apelem Waszej Świątobliwości, dostojnością i potęgą szlachetnych pobudek, które ten apel wywołały. Nasza odpowiedź musi się oprzeć na twardych faktach, na niczem innem. Pożądanem jest nietylko przerwanie walki, lecz trwały pokój. Ta walka na śmierć i życie nie powinna się już ponowić. Wasza Świątobliwość proponuje w gruncie rzeczy powrót do status quo ante bellum. Jest widocznem, że żadnej części tego programu przeprowadzić nie można, jeżeli przywrócenie status quo nie posłuży jako mocna i zadowalająca podstawa. Celem tej wojny jest, by wolne narody świata wyzwolić od zagrożenia ich przez wielką potęgę militarną, kierowaną przez nieodpowiedzialny rząd, który potajemnie układał plan panowania nad światem, który przystąpił do przeprowadzenia tego planu bez względu na święte zobowiązania traktatowe, który wybrał stosowny czas na wojnę, który ten plan wykonał okrutnie i nagle, który oblał wielki kontynent krwią nietylko żołnierzy, lecz także niewinnych kobiet i dzieci i bezbronnych Amerykanów i który teraz stoi jako zawiedziony wprawdzie, lecz nie zwyciężony wróg czterech piątych świata. Tą potęgą nie jest naród niemiecki, owszem ona jest bezlitosną panią niemieckiego narodu. Nie naszą rzeczą jest pytać, w jaki sposób ów wielki naród dostał się pod jej władzę, ani dla czego czas jakiś chętnie poddał się władztwu jej celów, ale naszą jest troska o to, żeby dzieje reszty świata nie były już dalej zależne od prawa tej władzy.

Z taką potęgą zawierać pokój według propozycyi Waszej Świątobliwości, znaczyłoby zezwolić na to, żeby swoją siłę odzyskała i swoją politykę wznowiła. Wymagałoby to ciągłej nieprzyjacielskiej kombinacyi narodów przeciw niemieckiemu

narodowi i doprowadziłoby do oddania odrodzonej Rosyi podczas wojny na pastwę chytrych intryg i pewnej kontrrewolucyi, wywołanej przez wszelkie złe wpływy, do których rząd niemiecki świat przyzwyczaił. Odpowiedzialni mężowie stanu muszą teraz wszędzie przyznać, że żaden pokój nie może się opierać na ograniczeniach politycznych i gospodarczych, które podyktowane są chęcią zemsty, forytują tylko pewne narody, a drugim szkodzą i upośledzają je. Naród amerykański doznał z ręki rządu niemieckiego nieznośnej krzywdy, mimo to nie pragnie on żadnych represaliów przeciw narodowi niemieckiemu, który sam także wycierpiał wszystko w tej wojnie, prowadzonej nie z jego woli. Amerykanie wierzą, że pokój musi się opierać na prawach narodów, a nie na prawach rządów, na prawach narodów, bez względu na to, czy są one małe czy wielkie, słabe czy silne, na ich równem prawie do wolności, bezpieczeństwa i własnego rządu, i na opartym na sprawiedliwych warunkach udziale w gospodarczych możliwościach świata.

Cele Stanów Zjednoczonych w tej wojnie są całemu światu wiadome. Nie pragniemy żadnych korzyści materyalnych, — wierzymy, że nieznośne bezprawie, jakiego w tej wojnie dopuściła się brutalna potęga niemieckiego rządu, musi być powetowana, ale nie kosztem władztwa (suwerenności) jakiegokolwiek narodu, lecz owszem przez utrzymanie władztwa zarówno słabych, jak silnych narodów. Uszkodzenie za karę, podział państw i postawienie samolubnej zasady gospodarczej ekskluzywności — uważamy za chybiające celu, za gorsze niż bezużyteczne, za podstawę nie nadającą się dla żadnego pokoju, a cóż dopiero trwałego. Ten musi się oprzeć na sprawiedliwości, lojalności i na wspólnych prawach ludzkości.

Nie możemy przyjąć słowa teraźniejszych panów Niemiec za gwarancyę niczego, coby mogło być trwałem, jeżeli nie będzie ono poparte przez wiarygodny wyraz woli i zamiarów niemieckiego narodu samego. Bez takich rękojmi nie może żaden naród przyjmować na siebie zależności od układu ugodowego traktatu o rozbrojeniu, od układu co do zastąpienia przemocy sądami rozjemczymi, od uregulowania granic i od przywrócenia małych narodów, gdyby takie układy zawierano z rządem niemieckim. Musimy czekać na kilka nowych dowodów co do zamiarów wielkich narodów w mocarstwach centralnych. Oby Bóg dał, żeby się one pojawiły rychło i w takiej formie, iżby przywróciły ufność wszystkich narodów w dobrą wolę narodów i w możliwość pokoju, opartego na układach.

Podpisano: Robert Lansing, sekretarz stanu.

W chwili, gdy piszemy te słowa, nie wiemy jeszcze, jaką odpowiedź dadzą Stolicy Apostolskiej inne rządy.

My, Polacy, możemy bardzo cieszyć się z wydania noty pokojowej. Ojciec św. mówi w niej bowiem, że celem zapewnienia trwałego pokoju w Europie koniecznem jest również ostateczne uregulowanie sprawy polskiej.

Ufajmy Bogu, że tym razem głos Papieża nie minie bez echa, lecz przyspieszy oczekiwany przez wszystkich pokój.

Różaniec i wojna.

Wielką jest potęga Różańca św. Historya świata zapisała mnóstwo wypadków, które jawnie o tem świadczą. Pomoc niebieska zjednywana przez to czcigodne nabożeństwo okazywała się najczęściej w czasie wojen z niewiernymi. Tak było np. w r. 1571 w czasie wojny z Turkami. Zwycięstwo chrześcijan pod Lepantem odniesiono jedynie dzięki pomocy Maryi, której opiece cały świat z Papieżem na czele w Różańcu się polecał. Tak też bywało niejednokrotnie w Polsce.

W r. 1621 młody sułtan Osman II., chciwy sławy i podbojów, wyruszył na czele czterykroć stutysięcznego wojska, około czterystu dział, dziesięciu tysięcy wielbłądów i t. d., aby „połknąć", jak mówił, Polskę, a potem pobić niemieckiego cesarza i w ten sposób zawładnąć całem chrześcijaństwem. Groza przejęła Rzeczpospolitą. „Takiej siły wojsk nie widziała jeszcze nigdy Europa", pisał wówczas Zygmunt III. do Papieża, Grzegorza XV.

Przeciw tej niebywałej potędze niewiernych stanęło z polskiej strony zaledwie około czterdziestu tysięcy żołnierza, z czego wiele, zwłaszcza zaciężnego żołnierza niemieckiego w ostatniej chwili z obozu zbiegło. Naczelny wódz, Karol Chodkiewicz, sławny z zwycięstw nad Szwedami i Moskwą, zadrżał na widok tej szczupłej garści.

Chciał nawet złożyć buławę. Przemogła w nim jednak miłość Ojczyzny i ufność w pomoc Najśw. Maryi Panny. To też przemówiwszy gorąco do wojska, dał hasło do boju. Rycerstwo, odśpiewawszy starą pieśń: „Boga Rodzico, Dziewico", śmiało stawiło czoła Turkom. Osman, pewien zwycięstwa, zacięcie uderzył na „garstkę onych zuchwalców, aby ich posłać na wieczerzę do piekła", jak mówił zadufany w swej sile. Odrazu też zawrzała krwawa bitwa, trwająca do wieczora, w której jednak Turcy, wbrew oczekiwaniu, ponieśli niezmierne straty. Zachęcone tem powodzeniem polskie rycerstwo, rwało się do dalszego boju. Atoli rada wojenna uchwaliła trzymać się wobec przemożnego wroga jeno odpornie i czekać, aż zimna pora uczyni jego wojska niezdolnemi do walki. Okopano się przeto w obozie i odpierano tureckie szturmy. A straszne były te szturmy. Armaty tureckie tak okropnie biły, że,

jak pewien pisarz osmański wspomina, „przez cały miesiąc okopy polskie nie miały znikąd przystępu i były, jakby z ognia ulane. Co więcej, w polskim obozie wszczął się głód, a straszne choroby dziesiątkowały wojsko. Umarł nawet naczelny wódz Chodkiewicz, po którym dowództwo objął Lubomirski. Wytrzymano jednak wszystko i kiedy dnia 28. września przyszło do walnej bitwy, szala zwycięstwa przechyliła się na polską stronę. Wojska osmańskie cofnęły się do obozu i rozpoczęto układy, które zakończyły się korzystnym dla Polski rozejmem dnia 10. października 1621 roku. Turcy, straciwszy około stu tysięcy ludzi, rozpoczęli odwrót. Garść owych „zuchwalców", których już pierwszego dnia mieli zetrzeć, uznali za niezwyciężoną.

Nie wiedzieli jednak, że w polskim obozie w dniu rozejmu była jeszcze tylko jedna beczka prochu... „Cała Europa na cieńkiej zawisła nici", jak piszą współcześni świadkowie...

Wszystko jednak dzieje się z woli Boga. Gdy z pod Chocimia dochodzić poczęły do kraju coraz smutniejsze wieści, wówczas Marcin Szyszkowski, biskup krakowski, nakazał publiczne modły o wyproszenie ratunku dla Rzeczypospolitej. W różańcową niedzielę, dnia 3. października cały kraj z różańcem w ręku błagał Wspomożycielki wiernych o pomoc, a w Krakowie uroczysta procesya z cudownym obrazem Maryi z Dominikańskiego kościoła obchodziła Rynek. Rozdarte bólem serca i zalane łzami oczy wznosiły się do Tej, której opieka nigdy nie zawodzi. Cały kraj wołał wtedy: „Maryo ratuj, Maryo pomagaj, Maryo nie opuszczaj". A gdy tak cała Polska tem świętem Imieniem rozbrzmiewała, a echo jej głosu niosło się hen, aż na chocimskie pola i mieszało się tam z owym okrzykiem rycerskim: „Jezus, Maryo", wówczas powtórzyło się to, co się było stało przed pięćdziesięciu laty pod Lepantem. Jeśli się bowiem zważy, z jednej strony ową wielką przewagę turecką w liczbie żołnierza i doborze uzbrojenia, z drugiej zaś strony szczupłe siły, głód, choroby i ciągłe niesnaski w polskim obozie, musimy przypisać owo zwycięstwo nie ludzkim, ale niebieskim siłom. Co więcej? Z owych czasów zachowało się mnóstwo zapisków naocznych świadków, którzy w najcięższych chwilach widzieli jawną pomoc Maryi. Oto jedno z tych podań głosi, że w czasie owego największego szturmu w dniu 28. września, gdy biskup łucki, Achacy Grochocki, błogosławił głową św. Stanisława Kostki hufce polskie, widziano na niebie złoty rydwan, a na nim siedzącą Najśw. Maryę Pannę z Dzieciątkiem Jezus i klęczącego u Ich stóp świętego młodzieniaszka, rozmodlonego o zwycięstwo dla rodaków.

Inne znów podanie, zapisane w kronikach Dominikańskiego klasztoru w Krakowie głosi, że sam Stanisław Lubomirski, naczelny wódz wojsk polskich po śmierci Chodkiewicza, opowiadał następujące zdarzenie: Gdy po największym szturmie spędzał w obozie bezsenną noc, zdało mu się, jakoby widział przed sobą jakąś niezwykłą światłość, a wśród niej świętą Boga Rodzicę, mówiącą słowo: „wytrwałość". Zrozumiał znaczenie tego widzenia i temu to później, acz układy z wrogiem wciąż trwały, trwał tak niezłomnie przy postawionych na początku warunkach, które wreszcie uzyskał.

Za jawny cud poczytała też owo chocimskie zwycięstwo Stolica Apostolska. Ulegając bowiem prośbom Zygmunta III. i królewicza Władysława, Papierze Grzegorz XV., a potem Urban VIII. zatwierdzili dla Polski na dzień 10. października osobne święto: „Podziękowania za zwycięstwo nad Turkami", które Kościół we Mszy św. i w pacierzach kapłańskich uroczyście po dziś dzień obchodzi.

W setną rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki.

Niema na ziemiach polskich imienia bardziej popularnego nad imię Tadeusza Kościuszki. Zna go nawet każde dziecko polskie. To bohater narodowy, obrońca niepodległości Polski, jeden z najlepszych wodzów polskich, zwany też powszechnie „Naczelnikiem". Ale imię jego znane jest nietylko w Polsce, lecz zarówno w Ameryce i w innych krajach Europy.

Właśnie 15. października br. mija sto lat, jak zakończył spokojnie swoje życie na wolnej ziemi szwajcarskiej w Solurze. Dlatego też z powodu przypadającej jego setnej rocznicy śmierci, poświęcamy mu w „Polskim Siewie" krótkie wspomnienie, tembardziej, że cały naród pragnie uczcić tę smutną rocznicę stosownymi obchodami.

Tadeusz Kościuszko urodził się 2. lutego 1746 roku we wsi Mereszczowczyźnie, nieopodal Słonima na Litwie. Do szkoły chodził w Brześciu, a następnie w Warszawie, a wreszcie w Paryżu. Kształcił się głównie w sztuce wojennej. Po ukończeniu nauk przebywał jakiś czas w Ameryce, gdzie walczył z Anglikami.

Po powrocie do kraju stanął na czele wojsk polskich, które musiały staczać ciężkie walki z Rosyą po drugim rozbiorze Polski. Kościuszko stoczył kilka zwycięskich bitew, jak pod Dubienką, pod Racławicami, pod Szczekaninami, pod Maciejowicami. W tej ostatniej bitwie został ciężko ranny i dostał się do niewoli rosyjskiej. W Petersburgu osadzono go w więzieniu. Car Paweł I. uwolnił go z więzienia w r. 1796. Nie mogąc przebywać w Polsce, wyjechał do Ameryki, a następnie po powrocie z Ameryki przebywał jakiś czas w Paryżu, a następnie do śmierci w Szwajcaryi. Kilkanaście ostatnich lat swojego życia przepę-

dził w pięknem miasteczku, Solurze, otaczany powszechnym szacunkiem.

Umarł dnia 15. października 1817 roku w Solurze w Szwajcaryi.

Zwłoki jego sprowadzono z Szwajcaryi do Polski i dnia 23. czerwca 1818 roku wśród wielkich uroczystości żałobnych pochowano w grobach królewskich na Wawelu.

Tadeusz Kościuszko nie obronił swojej ojczyzny przed przemocą rosyjską. Polska upadła. Do walki powołał on cały naród i lud polski, który usłuchał częściowo jego wezwania. Ale cały naród nie porwał się do tak stanowczej walki, jak tego święta sprawa wymagała. Uległ biernie przemocy! Kościuszko porwał się bohatersko do walki, lecz choć sam w końcu uległ silniejszemu wrogowi, uratował przynajmniej honor narodu.

Imię jego chował będzie dlatego naród polski zawsze we wdzięcznej pamięci i w imię haseł przez niego rzuconych walczył będzie, dopokąd nie uzyska zupełnej wolności.

Polska korona.

(Legenda).

Od Chrystusowego żłóbka z Betlejem wracali Trzej Królowie do domu. Dwaj z nich skierowali się ku wschodnim krainom, bo stamtąd przywiodła ich była gwiazda zbawienia. Za rzekami Tygru i Eufratu leżała ich ojczyzna.. Trzeci natomiast pochodził z północy; był bowiem królem Scytów; rozstał się więc z towarzyszami i poszedł w swoją stronę.

Daleka to jednak i żmudna była podróż, bo nie tak łatwo szło się w owych czasach. Dróg bitych nie było, miasta policzyłbyś na palcach, a jedna wieś uciekała od rugiej byle jak najdalej.

To też biedny król pielgrzym musiał się mozolnie przebijać przez gęste bory i dzikiemu zwierzowi, a nieraz dzikszym od zwierza ludziom nieustannie stawiać czoła. Widocznie jednak sam Pan Bóg miał go w Swej opiece, bo siedm gór i siedm rzek przebył, a nie stało mu się nic złego i nie utracił nic ze swych koronnych klejnotów, które z sobą w tobołach dźwigał.

Nareszcie dostał się w czyste pole. Patrzy i dziw go zdjął wielki. Jak daleko jeno wzrok sięgał rozciągały się olbrzymie łany żyta. A żytko nie takie było, jak teraz. Łodyga grubości laski, kłos zaś podobny do wiechy i osadzony tak wysoko, że gdy najroślejszy chłop stanął wśród zboża, to mu ona wiecha szumiała powyżej głowy niby piópusz.

Tedy myśli sobie ów król-wędrowiec:

— Co ja biedny pocznę? Łatwiej było już w boże drogę upatrzyć, niż tu, w tej gęstwinie.

Gdy tak zafrasowany spoglądał w dal, nagle zajaśniało mu coś przed oczyma. Gwiazdki, czy co? Sine gwiazdeczki, a tyle ich, co prawdziwych gwiazd na niebie. Tylko, że jakoś zbiły się w kupkę i środkiem żyta przerzuciły hen, daleko — rzekłbyś — most szafirowy! A to były bławatki.

Rzecz więc Scyta:

— Trudna rada! Pójdę ja za niemi; pójdę po tym bławatnym moście, niech się dzieje wola Boża!

I dobrze zrobił! Zanim słońce zeszło z nieba, sine kwiatki przywiodły króla do jakiejś kmiecej zagrody; dworzyszcze było większe, niż inne; snać ktoś możniejszy w niem mieszkał.

Na przyźbie domu obaczył Scyta poważnego męża, wypoczywającego po ciężkiej pracy w polu. Głowę miał bez nakrycia; z pod sukmany wyzierała koszula ze zgrzebnego płótna; a przecież Scyta, ledwie nań okiem rzucił, poznał odrazu, że to król Lechitów. Z otwartemi więc ramionami postąpił ku niemu, mówiąc:

— Bracie, otom przychodzień strudzony. Nie odmówisz mi chyba dachu nad głową i kęsa chleba, by się orzeźwiły członki moje.

Król Lech powstał i przycisnąwszy do piersi króla-pielgrzyma, poprowadził go do izby; kazał przynieść mleka i miodu i świeże szaty, bo świętem mu było przykazanie: „Gość w dom, Bóg w dom“.

Scyta kilka dni już bawił u Lecha. I stało się, że Lech bardzo umiłował Scytę, a on znowuż Lecha. Raz też tak przemówił królewski gospodarz do gościa:

— Bracie! Pozostańmy razem! Mam dobytku więcej, niż mi trzeba i ziemi dostatek. Jak brat z bratem podzielę się wszystkiem z tobą i będzie to balsamem sercu mojemu.

Na to odpowiedział przybysz:

— Zostać, zostanę, bo mi dobrze u ciebie. Ale żebyśmy mieli dzielić się twemi posiadłościami, na to nie zgodzę się nigdy, jako że tylko poswarki, krwi przelew i pożoga powstają z takiego podziału.

I został i razem gospodarzyli i dobrze im się wiodło. Zamienili pierścienie na znak braterskiego związku, a Scyta, pragnąc się odwdzięczyć, ofiarował Lechowi wydobytą z tobołków królewską koronę. Była to ta sama korona, którą przywdział był dla oddania pokłonu nowonarodzonemu Zbawcy. Boskie Dzieciątko nie mogło wówczas dość napatrzyć się pięknej koronie; wyciągało do jej rubinów rączęta, mniemając, że to tak zakwitły różyczki, a ująwszy koronę, złożyło na iskrzącem złocie swój niebiański pocałunek.

To też nie dziw, że dotknięciem ust Chrystusowych poświęcona korona przyniosła Polsce szczęście, bo wielkie ziemie i niezmierną potęgę i powagę u postronnych.

Św. Jadwiga z Trzebnicy.

Pod Lignicą gromadziły się r. 1241 dzielne hufce chrześcijańskie dla powstrzymania Tatarów, którzy, splądrowawszy Ruś i Polskę, podążali na Śląsk.

W zacisznej komnacie zamku wrocławskiego siedziała niemłoda kobieta o poważnem i słodkiem obliczu. Odzież jej z grubego sukna, jak habit zakonny, a przecież po uszanowaniu, z jakiem się do niej odnoszą obecni, zdaje się, że ma tutaj prawo rozkazywać. Po niejakimś czasie otworzyły się podwoje i wszedł młody rycerz w zbroi, a przyklęknąwszy na jedno kolano i schylając głowę przed niewiastą, rzekł głosem dźwięcznym, pełnym odwagi:

— Błogosław matko!

Matrona podniosła ręce w górę, tak jak myśl i serce ku Najwyższemu i odparła z westchnieniem:

— Idź i walcz za wiarę i ojczyznę! —

Wyszedł rycerz, raz jeszcze się matce do nóg skłoniwszy, ona zaś padła na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego. Bladość śmiertelna powlokła jej lica, a boleść, niewypowiedzianem wyrazem męczeństwa odbiła się na jej twarzy. W tej chwili przeżyła wszystkie męczarnie matki tracącej ukochanego syna, w nadziemskiem bowiem uniesieniu ducha do Boga, widziała syna tego kres niedaleki, a usta jej powtarzały machinalnie wyrazy: „Dziewiątego kwietnia!“

To też kiedy rzeczywiście 9 kwietnia r. 1241 zginął pod Lignicą, umiała ona już stłumić łzy i łkania macierzyńskiego serca i rzekła tylko z pokorą: „Dziękuję Ci, Panie, że dałeś mi takiego syna, który walcząc za wiarę chrześcijańską w obronie krzyża Twego, życie położył. Duszę jego polecam Tobie i nie wątpię, że go do siebie przygarnąć raczyłeś!“

Synem tym był Henryk Pobożny, książę lignicki a matką Jadwiga, żona Henryka Brodatego, jednego z najpotężniejszych książąt piastowskiego plemienia na Śląsku, któremu historycy przypisują wiele pożytecznych ustaw, a który był tak względnym i łaskawym dla prostaczków, że gdy mu ubogi chłopek przyniósł na skromnej misce jaj, chętniej je przyjmował, niż drogocenne dary od panów, mawiając: — Ubogi nędzarz majątek mi swój oddaje, z którego sam żyć musi, niech więc ma pociechę, że dar jego wdzięcznie przyjąłem“.

O mało co nie zabity wraz z Leszkiem Białym przez Pomorzan w Gąsawie, Henryk Brodaty, ocalał wskutek poświęcenia się wiernego sługi, który zasłaniając księcia własnym ciałem, prawie wszystkie ciosy za niego odebrał.

Schroniwszy się do Wrocławia rozpoczął wkrótce krwawe zatargi z Konradem, księciem mazowieckim, o opiekę nad małoletnim synem Leszka. Pobity pod Skałą nad Prądnikiem Konrad i do ustąpienia zmuszony, napadł wkrótce Henryka słuchającego Mszy świętej w Spytkowicach, pojmał go i nie prędzej z więzienia płockiego wypuścił, dopóki tenże nie wyrzekł się swoich uroszczeń.

Wtenczas występuje na widownię pełna roztropności, świątobliwa Jadwiga, uśmierza gwałtowność męża, jedna zwaśnione umysły, ułatwia warunki pokoju, zjeżdża nawet sama na Mazowsze, żeby przewodniczyć w układać i uwolnić Henryka z rąk Konrada. W czasach, kiedy podział kraju na drobne księstwa osłabił powagę i dzielność narodu, kiedy wojny wynikające z nagłych zatargów między książętami, zlewały krwią ziemię naszą i ją wyludniały, szerzyła Jadwiga wokoło siebie dobrobyt, goiła rany z ogólnych klęsk wynikłe, sprowadzała osadników do wyludnionych okolic, krzewiła nauki i rzemiosło. Śląsk, oddychając swobodniej pod jej troskliwą opieką, pierwszy zaczął splatać wieniec nieśmiertelnej chwały.

Jakże bo ona troszczyła się o sprawiedliwość dla uboższych? Wysyłała na sądy kapłanów swoich, żeby bronili kmiotków przed krzywdą, wypraszała sama łaskę dla nich u starostów, a w czasie głodu, jaki nawiedził kraj, nie ustawała w udzielaniu zboża i żywności potrzebującym. Istnieje legenda o cudownem pomnożeniu chleba za przyczyną św. Jadwigi podczas dni głodowych, którą tutaj, ujętą w piękną formę poetycką, przytaczamy:

Głód był na Śląsku. Młodziuchna pani,
　Anioł dobroci i cnoty,
Oddała złoto, perły, klejnoty...
　Jednak mrą z głodu poddani.

Tam w wojnie z wrogiem Henryk Brodaty,
　Tu walczy księżna łagodna
Z potworem głodu. Skarbiec bogaty
　Jest wyczerpany... już do dna!

I spichrze puste! Pomoru znaki
　Piętnują wybladłe twarze...
Jako z drzew liście spadają ptaki...
　Wsie puste... ludne cmentarze!...

Noc była głucha... spiż wciąż podzwania
　Na smutne: Ave Maria...
A na dźwięk jego księżna się słania,
　Jako od burzy lilia.

Nie przerwie ciszy kur z głodu niemy,
　Tylko dzwon coraz żałośniej,
Niby głos ludu, — wciąż rzewniej, głośniej
　Woła: „Giniemy!... giniemy!...

Nie zginiesz ludu!... jest broń potężna,
Co stanie w twojej obronie:
Modlitwa Świętej!... Oto twa księżna
Do nieba podniosła dłonie.

I jako Mojżesz rozmawia z Bogiem.
Któż tajnie nocy tej zbada?
. . . .

Ranek zabłysnął. Przed zamku progiem
Lud woła: „Biada nam!... biada!"
Pośrodku tłumu, jak Anioł Boży,
Jadwiga z jałmużną staje.

Czy przez jej ręce Pan chleby mnoży,
I głodnej rzeszy rozdaje?
Mówią dworzanie, podziwem zdjęci:
„Wszak w zamku nie było chleba!"
. . . .

O tajemnico! znali cię Święci...
Z nimi wróciłaś do nieba.
Lecz klucz tu został... Są może dłonie
Co skarb miłości otworzą.

Są może dusze, co z wiarą w łonie
Jak cudem chleby rozmnożą?
O tam od góry, biała lilia
Błogosławieństwa tchnie wonią...
I na dziękczynne Ave Maria
Radośnie spiże już dzwonią!...

Całe też bogate wiano Jadwigi poszło na cele szlachetne. Dla siebie nic prawie nie potrzebowała, nosiła zimą i latem jedną grubą suknię własnej roboty i aby się umartwić, chodziła nawet boso po śniegu. Rzadko tylko, gdy jako księżna dać musiała posłuchanie jakim osobom poważnym, brała na siebie szaty nieco lepsze, a w czasie uczt pościła, żywiąc się potajemnie najzwyklejszemi potrawami.

Założywszy wraz z mężem w Trzebnicy klasztor dla PP. Cystersek, nosiła habit, lecz ślubów zakonnych nawet po śmierci męża nie składała, nie chcąc sobie tamować obietnicą ubóstwa drogi do jałmużny i pocieszenia ubogich. Wszystkie jednak ustawy zakonne pełniła pokornie, przewyższając jeszcze siostry w biczowaniach i modlitwie. Chorych opatrywała sama, zapominając często o sobie, nigdy o drugich. Niezrównaną słodyczą i roztropnością wpłynęła niejednokrotnie na burzliwy charakter Henryka. Łzami i prośbą odwracała go od popełnienia niesprawiedliwości.

Powiadają, że dwóch co dopiero powieszonych zbrodniarzy, poleciwszy zdjąć z szubienicy przywróciła ku zdumieniu i przestrachowi obecnych modlitwą do życia. Przepowiedziała również śmierć męża i zniosła ją odważnie, mówiąc do płaczących: „„Co Bóg ze stworzeniem swem czyni i czynić chce, to nam wszystko wdzięczne być powinno!" Kiedy przeczuła dzień śmierci prosiła, nie leżąc jeszcze w łóżku, o Sakrament ostatniego olejem św. namaszczenia. Położywszy się następnie, oddała Bogu ducha 15 października r. 1243.

Zaledwie lat dwadzieścia po śmierci uczczono r. 1268 zwłoki Jadwigi za zezwoleniem papieża Klemensa IV, który ją w poczet Świętych policzył, w Trzebnicy w obecności króla czeskiego Ottokara i innych książąt i panów po raz pierwszy uroczystem nabożeństwem.

Do żołnierzy na urlopie.

Czas urlopu żołnierzy ma wielkie znaczenie nietylko dla życia familijnego i towarzyskiego, lecz również dla życia religijnego. Rodzice, duszpasterze, wychowawcy powinni się starać o to, ażeby wyzyskać sposobność i podnieść na duchu i uszlachetnić wszystkich żołnierzy, przebywających na urlopie. Pewien kapłan doradza nawet w restauracyach, w domach pozawieszać tabliczki z następującem napomnieniem:

Żołnierze! Ojczyzna, dom rodzinny, szkoła, kościół, to wszystko wam mówi, że wy za najświętsze dobra krew przelewacie.

W kółku rodzinnem dobrze to odczuwacie, że miłość waszych najbliższych troszczy się, pracuje i modli za was dniem i nocą. Ciężary są coraz większe, niedostatek coraz cięższy, ale to wszystko znosi się w domu, bo wy narażacie wasze życie.

W świątyni Pańskiej znajdziecie pokój wewnętrzny w Sakramencie Pokuty, pokrzepienie ducha w Komunii św., a prawdziwą radość podczas nabożeństwa.

Wkrótce rozłączycie się z nami, nie możemy wam towarzyszyć w pole, ale Zbawiciel w Najśw. Sakramencie będzie waszym wiernym towarzyszem i będzie was pocieszał w najczarniejszej godzinie.

Nie zapominajcie nigdy o Bogu, ale módlcie się gorąco wstając rano i kładąc się na spoczynek, a zwłaszcza wieczór wzbudzajcie szczery żal za grzechy, temi np. słowy:

Boże, choć Cię nie pojmuję,
Jednak nad wszystko miłuję!
Ach, żałuję za me złości,
Jedynie dla Twej miłości.

Może nie wszędzie uda się te zbawienne rady spisać na tablicach, ale żołnierze, przebywający na urlopie, powinni je sobie wyryć na sercach swoich i o nich pamiętać.

Dobrzeby było, ażeby rodzice i krewni te rady żołnierzom przypominali.

Ruch husycki w czasie wojny.

Według doniesień niektórych pism, ruch husycki nie ustał nawet w czasie wojny. Przed wojną rozwijał się on bardzo intenzywnie i szedł w kierunku narodowo-liberalnym, nie mając naturalnie nic wspólnego z ideami religijnemi, które głosił Hus. Niektóre pisma wskazują na szeroko rozgałęzioną w całych Czechach sieć organizacyjną. Celem tej organizacyi miało być połączenie i skupienie wszystkich żywiołów liberalnych i radykalnych kół politycznych czeskich w tym celu, ażeby podczas wielkiej uroczystości na cześć Husa, która miała się odbyć w lipcu 1915 r., jawnie po raz pierwszy wystąpić i potem dalej działać. Prawie cała prasa czeska (z wyjątkiem katolickiej) popierała te dążenia, komitety zagraniczne w Nowym Jorku, w Petersburgu istniały dla tej myśli, a do tego ruchu przyłączyli się wpływowi politycy, burmistrze miast, profesorowie, nauczyciele, towarzystwa „Sokół“ i t. d. Ale wojna przeszkodziła bardzo temu ruchowi, a zamiast wielkiej uroczystości na cześć Husa odbyło się tylko skromne odsłonięcie pomnika w Pradze (na rynku starego miasta) i mały akademicki obchód w auli czeskiego uniwersytetu. Zato objawia się żywiej ruch husycki zagranicą, mianowicie w Szwajcaryi, w Rosyi i w Ameryce. W Północnej Ameryce itsnieje „Liga Jana Husa“, która ma daleko sięgające plany. Zdaje się jednakowoż, że wojna w znacznej mierze zabiła ruch husycki.

Potrzeba religii wobec „postępu“.

— Coby się stało ze świata bez religii? — mówił Napoleon. — Ludzie wymordowaliby się wzajemnie o piękną kobietę i smaczną gruszkę.

Jaka to głęboka prawda w tych słowach! A twórca i pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych w Ameryce, Washington, powiada:

— Religia i moralność są niezbędnemi podporami wszelkiego dobrobytu i powodzenia. Nie jest przyjacielem Ojczyzny ten, kto podkopuje te potężne filary ludzkiego szczęścia. Rozum i doświadczenie pokazują, że moralność bez religijności istnieć nie może.

Tak zresztą sądzili już starożytni mędrcy greccy i rzymscy, jak Plato, Plutarch, Cycero, Seneka i inni. Religię uważali za rzecz konieczną zarówno dla jednostki, jak i dla rodziny i całego społeczeństwa. W niej widzieli podstawę ładu społecznego życia.

A przecież dzisiaj u niektórych, zwłaszcza młodych ludzi to przekonanie traci na swej sile, a często nawet zupełnie upada. Dzieje się to u nich zazwyczaj na widok postępu nauk, które obecnie rzeczywiście w zadziwiający sposób się rozwijają. Medycyna wykrywa ciągle nowe bakcyle czyli zarazki i łatwo zapobiega szerzeniu się różnych chorób; nauki przyrodnicze i chemia wnikają coraz głębiej w tajniki przyrody i ujarzmiają jej siły, budując coraz to nowe maszyny. We wszystkiem rośnie wygoda życia. Telegraf łączy najodleglejsze kraje i lotem błyskawicy przenosi myśli ludzkie; okręty przebiegają z łatwością najburzliwsze morza; latawce prześcigają najszybciejsze ptaki i t. d. Doprawdy! Gdyby człowiek choćby z przed stu lat powstał dziś i popatrzył na obecne urządzenia świata, nie dałby wiary własnym oczom!

Olśniony tymi postępami i powagą nauki człowiek, zaczyna jednak łatwo zapominać o religii. Zdaje mu się bowiem, że zapanowując nad przyrodą, wyłamuje się równocześnie z pod zależności od Boga. Myśli, że i bez Boga stanie się całkowitym panem ziemi i zgotuje sobie na niej zupełne szczęście. Co więcej? Zdarza się nawet, że taki zapalony wielbiciel „postępu“, uważać poczyna nawet religię za przeszkodę w rozwoju nauk i wynalazków ducha ludzkiego.

Czy jednak rzeczywiście tak jest? Zali to wynalazki istotnie mogą znieść naszą zależność od Boga? — Nigdy w życiu; tylko powierzchowne zapatrywania mogą tak sądzić. Głębsze pojmowanie rzeczy tembardziej utwierdza człowieka, w pojęciach o wielkości Boga i własnej nicości, a stąd o potrzebie prawdziwej religii.

Wielkie są nasze wynalazki, ale czemże są one w porównaniu z potęgą tych sił przyrody, które są tylko słabem odbiciem Wszechmocy Boga? Czemże są te wynalazki w porównaniu z tymi cudami, które w przyrodzie codziennie w oczach naszych się dzieją? Z brudnej i czarnej ziemi wyrasta najpiękniejszy kwiat, cicho, nieznacznie, bez stuku i dymu; a my dla zrobienia sztucznego kwiatu, który jest tylko lichem naśladownictwem tamtego, potrzebujemy zaraz fabryk, kominów, maszyn i t. p.... Dumni jesteśmy, żeśmy zaprzęgli elektrykę do wozu, a jedno uderzenie piorunu może w mgnieniu oka rozbić i te wozy i te maszyny, które elektrykę wyrabiają.

Czyż więc mimo wszystkich wynalazków, nie jesteśmy i nie zostaniemy na zawsze karłami wobec przyrody i jej sił? Czyż najśmielszy młody uczony śmie o tem zamarzyć, że kiedy będzie kierował wichrami, a ziemi zakaże, by swem trzęsieniem nie obracała w gruzy miast.? A choćbyśmy i do tego, co jest zresztą niemożliwem, dojść mogli, czyżbyśmy nawet i wtedy nie musieli się czuć słabymi wobec całego wszechświata? Właśnie nauka przekonała nas, że nasza ziemia jest ziarnkiem piasku wśród tych ogromów świata, które jako gwiazdy widzimy nad sobą; wystarczy jedno ich uderzenie, aby ta ziemia ze wszystkiem, co się na niej tak pyszni, w proch się obróciła.

Więc nie zamykając się w ciasnem kole wynalazków, ale patrząc śmiałem i otwartem okiem w nieograniczone przestrzenie wszechświata zawsze i rozumieć i odczuwać będziemy naszą słabość i zależność od Boga. Każdy krok naprzód w nauce, moc dla nas coś zdobywa, zwyczajnie jeszcze więcej odkrywa tajemnic, przedtem nam nieznanych; opowiada nam o mądrości i wielkości Boga i każdego rozumnego człowieka pobudza do tem większej czci i gorliwszej służby Panu nad Pany.

Zachęta do dobroczynności.

Żyła w Aleksandryi, w czwartym wieku po Chrystusie, podeszła wiekiem dziewica, która niezmiernemi bogactwy obdarzona, w sukniach i całej powierzchni pokazywała pokorę, ale dumna i skąpa, ani pielgrzymom, ani ubogim, ani Kościołowi nic nie dawała.

A ponieważ krewną swą, panienkę, za swoją przybrała, skąpstwo swe tym płaszczykiem pokrywała, że dla tej córki swej przybranej musi majątek w całości utrzymać. Jakoż wszelkie starania kapłanów, aby ją skłonić do uczynków miłosiernych względem ubogich, były daremnemi.

Razu pewnego, przyszedł do niej kapłan imieniem Makary i rzekł:

— Mam dla ciebie dobry interes: oto pewien obywatel ma drogie kamienie na sprzedaż, są tam hiacynty, szafiry i szmaragdy; chce za nie 500 talarów, jest to napozór zawiele, ale ponieważ za jeden z tych kamieni całą sumę odbierzesz, to resztę kamieni możesz swej córce przybranej na posag zachować.

Uradowana tak świetnym interesem, padła do nóg Makaremu i zawołała:

— Czcigodny Ojcze, postaraj się, aby nikt inny tych kamieni nie kupił.

Makary zaś odrzekł:

— Tę przysługę chętnie ci wyświadczę; ale nie możesz ich kupić, nim je na własne oczy oglądasz. Chodź więc do naszej furty klasztornej, tam możesz te skarby obaczyć, bo tam są schowane.

— Nie — odrzekła, — to nie potrzeba, Ojciec jesteś dobrym znawcą; nadto pokładam nie mniejsze zaufanie w twej uczciwości, jak w znajomości na drogich kamieniach. Nie odstąpię przeto od twych nóg, aż nie weźmiesz 500 talarów.

Makary nie miał przyczyny odmówić jej życzeniu; wziął pieniądze — ale się już nie pokazał.

Ona czekała niespokojna jeden dzień, dwa, trzy — gdyż nie ważyła się sama iść do męża, który wielkiej czci zażywał w całem mieście i upominać się o kamienie; wreszcie spotkała go przed kościołem i rzekła doń:

— Proszę cię, mój ojcze, jaka jest twoja wola i rozkaz co do tych kosztowności, które kupiłam za 500 talarów?

Makary odrzekł:

— Bardzo dobrze, moja córko. Skoroś mi wręczyła pieniądze, natychmiast zapłaciłem za drogie kamienie; jeśli ci na tem zależy, to chodź i obacz, gdzie one leżą zachowane. Jeśli ci się spodobają, to będą twoją własnością, jeśli nie, to odbierzesz swoje pieniądze.

Zaprowadził ją więc do ochrony ubogich i chorych, która zostawała pod jego nadzorem. Tu pokazała jej wychudłych mężów, potem kobiety i rzekł:

— Oto szmaragdy, szafiry, hiacynty, jeśli ci się podobają, to dobrze, jeśli nie, to weź twe pieniądze.

Ona zmartwiła się wprawdzie, lecz wstyd jej było żądać oddania pieniędzy; wróciła do domu i ze zgryzoty — zachorowała. Zaledwie podniosła się z choroby, wnet jej przybrana córka zachorowała i po krótkim czasie umarła.

Dama zaś udała się znowu do Makarego, upadła mu do nóg z płaczem i dziękowała mu za tak silną naukę; teraz uleczona ze skąpstwa, wylała się na dobre uczynki, na które wielki majątek wystarczył. To właśnie miał na celu Makary; nie oszukać lecz uleczyć ją chciał trzymając się nauki ewangelicznej, że to co się daje ubogim, zamienia się w skarby niebieskie, które nieskończenie są cenniejsze, jak wszystkie skarby ziemskie. Tych ani złodziej nie ukradnie, ani rdza nie zje, ani mól nie zepsuje; a gdy nas wszystkie skarby i dobra światowe porzucą, te nas nie porzucą. Przez uczynki miłosierdzia lituje się człowiek nietylko nad bliźnim swoim, ale także nad samym sobą; jałmużnę, którą daje ubogiemu, swej własnej duszy daje, siebie odziewa, siebie karmi. „Okupuj jałmużnami grzechy swoje“, mówił Daniel do Nabuchodonozora; a do faryzeuszów sam Pan powiedział: T o w a m p o z o s t a j e: d a j c i e j a ł m u ż n ę a w s z y s t k o w a m c z y s t e b ę d z i e (Łuk. XI, 41).

Tysiące niewiernych giną. — Co się dzieje z ich duszami.

Na widok tego strasznego żniwa śmierci, która już czwarty rok święci swe krwawe tryumfy, niejednokrotnie pytać mógł ten i ów, co się też dzieje z duszami tych nieszczęśliwców, którzy tysiącami padają na wszystkich polach bitew. Wszak szczęśliwość niebieską przyrzekł Chrystus Pan tylko wiernym synom Swego Kościoła, schodzącym w stanie łaski z tego świata. Wszyscy zatem heretycy, a więc niemieccy i angielscy protestanci, schizmatyccy Moskale, Serbowie, Bułgarzy, Rumuni, napół pogańscy Turcy i zupełnie pogańskie czarne ludy, walczące w wojskach francuskich i angielskich, powinni iść na wieczne potępienie.

Tak atoli nie jest. Taka bezwzględność bowiem sprzeciwiałaby się sprawiedliwości Bożej. Wszak Jezus Chrystus wyraźnie mówił: „A od każdego, któremu wiele dano, wiele żądać będą“.

Otóż poganom mało dano. Otrzymali oni tylko to prawo natury, którego poczucie każdy człowiek w sercu nosi; to też tylko wedle prawa natury Bóg ich sądzi. Prawo natury uczy ich, że jest Bóg, który wszystko stworzył, a jako sprawiedliwy Sędzia za dobre nagradza, a za złe karze. To mają wypisane w sercach. To samo prawo uczy ich, jaka jest różnica między dobrem a złem; wskazuje konieczność unikania złego i czynienia dobrze; gdy zaś popełnili zło, wskazuje potrzebę żalu i wyrzeczenia się tego w przyszłości. Jeśli zatem poganin przestrzega tego wszystkiego, co mu sumienie mówi, a równocześnie zdaje się na Boga, mówiąc niejako: „Kim jesteś o Boże, któryś stworzył człowieka, Tobie się z ufnością oddaję, byś mną rozporządził wedle woli Swojej; ja gotów jestem wszystko uczynić, czego Ty ode mnie dla mego zbawienia żądasz!“ — wówczas, zadośćczyni wszystkiemu. Ma bowiem, acz niewyraźne, ale wystarczające pragnienie chrztu św. i w zachowaniu prawa naturalnego spełnia wolę Bożą.

Prawdą jest jednak, że do spełnienia tych dwóch czynów posłuszeństwa człowiek sam z siebie jest za słaby. Nie trzeba atoli zapominać, że nigdy nie brak mu łaski do tego potrzebnej. Bóg chce zbawienia każdego człowieka i stworzywszy wszystkich w tym celu, szczodrze wszystkimi sposobami im dopomaga. Uczony O. Faber powiada: „Miło jest pomyśleć, że Bóg każdą duszę ludzką otacza siecią miłości swojej. Zawsze zajęty Europejczyk, milczący człowiek Wschodu, awanturniczy Amerykanin, tępy Hotentota, dziki Australczyk, okrutny Malajczyk, każdy jest otoczony tą siecią. Każdy wprawdzie inaczej, lecz zawsze jest otoczony objawami ojcowskiej czułości, pobłażliwości i wspaniałomyślności. Gdybyśmy mogli przeniknąć tajemnice dusz ludzkich, ujrzelibyśmy, że Stwórca nie wzdraga się wobec najbrutalniejszej przewrotności, wobec najfanatyczniejszych błędów, najzatwardzialszych nieczułości, a każdą sprawę kieruje na korzyść duszy z najwyszukańszą delikatnością swej twórczej miłości.“ Taką jest prawda. Ci biedni dzicy, zagrzebani w zmysłach, zaledwie oświeceni światłem umysłu, czyż oni mogą być przez Boga uważani tak, jak na przykład członkowie Akademii, którzy tyle wiedzieć mogą, a często nie chcą. Im węcej istota jaka upośledzoną jest przez matkę naturę, tem więcej ukochaną bywa przez Boga, najlepszego Ojca. Wszak to obraz i podobieństwo Boże!

Tak uczą starożytni Ojcowie Kościoła, Doktorzy pierwszych wieków, którzy nigdy nie wątpią w wielką liczbę wybranych z pośród pogan.

Jeżeli zaś jest to prawdą względem pogan, to o wiele więcej jest prawdą względem heretyków i schizmatyków, którzy są ochrzczeni i wierzą we Wcielenie Syna Bożego, w wylew krwi Bożej, a pomiędzy którymi nietylko dzieci, ale cały tłum ludzi prawych, prostych i szczerych żyje w nieprzezwyciężonej niewiadomości i dobrej wierze. Papież Pius IX. dnia 9. grudnia 1854 roku mówił do biskupów, zebranych w Rzymie: Niewątpliwem jest, że Kościół jest jedyną arką zbawienia; lecz równie za niewątpliwe uważać trzeba, że nie pochodząca z własnej winy nieświadomość prawdziwej religii, nie stanowi winy wobec Boga. Któż tedy odważy się oznaczyć granicę tej niewiadomości, mając przedewszystkiem na względzie rozmaitość pojęć, usposobień i charakterów różnych narodów i mnóstwo innych okoliczności.

W dziesięć lat potem, w r. 1865 w liście swym do biskupów włoskich, pisał Ojciec św.: „Wiecie, jak i My wiemy, że ci, którzy chociaż pozostają w niezwyciężonej nieświadomości, lecz zachowują wiernie prawo przyrodzone i którzy zwykli słuchać Boga, a prowadzą życie uczciwe i prawe, mogą też przez światło łaski Bożej dostąpić życia wiecznego. Bo Bóg, który widzi głąb serca, umysłu, myśli i przyzwyczajeń, sądzi wedle nieskończonej dobroci i łaskawości Swojej i nie karze męką wieczną tych, którzy nie byli rozmyślnie winni“.

Nie można więc lekkomyślnie sądzić, że wśród pogan i niewiernych nikt nie będzie zbawionym. Ilość zbawionych będzie bardzo wielka. Bóg nie może kończyć swego dzieła porażką. Wszak stworzył świat na to, aby okazała się Jego chwała. A ta chwała będzie tem większą, im większa liczba osiągnie szczęśliwość wieczną.

Mężny wyznawca wiary.

Nic niema szlachetniejszego jak pogarda względu ludzkiego; ona wznosi człowieka nad tych wszystkich, którym się zdaje, że poniżą go szydząc z niego; najpyszniejsza bezbożność zmuszona jest cześć mu oddać.

Będzie dwadzieścia lat temu, pisze M. Bouniol, nierozsądny wzgląd ludzki despotycznie panował we Francyi między młodzieżą szkoły politechnicznej, za czasów Ludwika Filipa. Trzeba było odwagi prawie heroicznej, aby się ośmielić przy danej sposobności, otwarcie wyznać wiarę swoją. Jeden z uczniów miał jednakże tę odwagę i to w okolicznościach podnoszących jeszcze zasługę jego.

Raz w czasie wolnej godziny, gdy większa część młodzieży z powodu niepogody zebrała się w sali szkolnej, jeden z uczniów wbiega z dziwną

wesołością i wstąpiwszy na krzesło daje znak milczenia. Otaczają go i pilnie przysłuchują się co będzie mówił.

— Panowie — rzekł — znalazłem rzecz, ale rzecz dziwną, niesłychaną i taką, że ręczę sto, tysiąc i dziesięć tysięcy razy, iż nie zgadniecie co to jest, chociaż nie jest możebnem, aby ten mógł być naszym kolegą z naszej szkoły. A więc zgadnijcie co znalazłem na korytarzu?

Wtedy wymieniają rzeczy najdziwniejsze, sadzą się na dowcipy i szyderstwa.

— Panowie, z pewnością nie zgadniecie. Oto co znalazłem! podnosi rękę i pokazuje różaniec.

— Różaniec! wołają wszyscy, różaniec! Któż u licha śmie nosić przy sobie ten zabobon? Takich kolegów my nie mamy; wszak nie ma tu starej dewotki, którąby upuściła różaniec. Założę się, że różaniec nie znajdzie swego właściciela. Ten do którego należy, jeżeli należy do kogo, nie będzie tak głupi, aby upomnieć się o niego.

Jeden z uczniów, stojący przy stole pokrytym rysunkami i książkami, od kilku chwil podniósł głowę i z założonemi rękami spokojnie z nieopisanym uśmiechem patrzał na tę dziwną scenę. W szlachetnych jego rysach, na wyniosłem czole, w blasgu jego wzroku śmiałego i jasnego, jaśniała bystrość umysłu. A ta powierzchowność nie była kłamliwą. Między celującymi uczniami, Henryk był jednym z pierwszych. Dodajmy do tego, że miły jego charakter zjednał mu przyjaźń większej ich liczby, a gruntowna nauka szacunek wszystkich.

— Widocznie różaniec do nikogo nie należy — wołał znowu uczeń udający woźnego. — No powtarzam raz, dwa...

W tej chwili Henryk przeszedł między ciekawymi, wyciągnął rękę i spokojnie, tonem poważnym bez zarumienienia się ani zawstydzenia, wprawiając wszystkich w podziwienie rzekł:

— To jest mój różaniec, proszę mi go oddać.

— Twój, twój? — jego różaniec! To nie może być. Doskonale umie żartować.

— Nie żartuję, szczególniej w takich przedmiotach — rzekł Henryk, nie tracąc odwagi, acz widział złośliwe uśmiechy — tak moi panowie, ten różaniec do mnie należy i upominam się o niego. Dostałem go od umierającej mej matki, której obiecałem, że go zawsze nosić będę, zachowując wiernie zasady mej wiary. Panowie! przed chwilą słyszałem mówiących z drwinkami o rzeczach świętych, co przypisać można głębokiej ciemnocie tak pospolitej niestety w tych przedmiotach, których wcale nie rozumieją, a których nie chcą się uczyć. Słyszałem gdy pytano szydzącym tonem, czy który z nas na Mszę św. chodzi? Nie wiem, jak czynią inni, co do mnie niech Bóg broni, abym Mszę opuścił; w niedzielę najpierw idę do kościoła.

To poważne objawienie zasad gruntownie utwierdzonych uczyniło wrażenie. Niektórzy wahali się, nie wiedząc czy mieli przyznać racyę, czy wyśmiewać, inni zaczynający już drwinki, cofnęli się przed tym odważnym młodzieńcem. Większa część uczniów rozumnych i szlachetnych, podziwiając odwagę Henryka, przyklasnęli i podali rękę na znak szacunku walecznemu bohaterowi chrześcijańskiemu.

Protestant nawrócony.

W pewnem mieście nad Renem, gdzie się przez niejaki czas zatrzymałem, poznałem malarza, którego dość często odwiedzałem. Ujrzałem go w kościele i podziwiałem jego gorące nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, tem bardziej, gdym się dowiedział, że on był dawniej protestantem. Prosiłem go tedy, aby mi opowiedział historyę powrotu swego do Kościoła katolickiego, co tenże chętnie uczynił.

— Mój ojciec — mówił — był urzędnikiem w Dreznie i żył bardzo skromnie. Niestety już wcześnie utraciłem ojca i matkę i odziedziczyłem bardzo mały kapitalik, którym mój brat o wiele starszy odemnie, z bogatą panią ożeniony, zarządzał jako opiekun. Oddał mnie do litografa, najął mi mały pokoik na poddaszu, dawał mi pieniędzy ile razy potrzebowałem — zresztą nie troszczył się o mnie zupełnie. W tem opuszczeniu wiele chwil smutnych przeżyłem.

Gdy mi bardzo ciężko było na sercu, szedłem do katolickiego kościoła i klękałem na stopniach ołtarza; bo choć nigdy z nikim nie mówiłem o tem, to jednak wiedziałem, że Bóg tu w całkiem inny sposób był obecny jak w naszych protestanckich kościołach, do których co niedziela chodziłem na kazanie, gdzie mnie jednakże nic nie zatrzymywało, skoro się kazanie skończyło i śpiew umilknął.

Jednego dnia oświadczył mi brat, dając mi kilka talarów, że mój kapitał już wyczerpany, że nie jest w stanie nadal się mną opiekować. Jak grom z jasnego nieba uderzyły mnie te słowa; zatamowałem cisnące się do oczu łzy i smutny i stroskany udałem się do mej komórki.

Jadłem tylko suchy chleb, a jednak gotówka moja wkrótce znikła, tak że jednego dnia miałem tylko tyle pieniędzy, żem sobie mógł kilka bułek kupić. Nie mogłem się zdobyć na to, abym żebrał u brata, który się ze mną tak bez serca obszedł — dlatego gotów byłem na śmierć głodową. Z boleścią w sercu pospieszyłem do katolickiego kościoła, ukląkłem przed ołtarzem i opowiadałem Panu Bogu, którego obecność czułem, całe moje nieszczęście i moje cierpienia.

Nagle błogi pokój zawitał do serca mego; poszedłem do pracy, lecz zaledwie zacząłem, kazał mnie pryncypał zawołać i oświadczył, że jest bardzo z mej pracy zadowolony i dlatego wyznacza mi zapłatę tygodniową. Dziwna rzecz, że nigdy nie myślałem zostać katolikiem, choć teraz jeszcze gorliwiej niż przedtem modliłem się w katolickim kościele.

Mając lat 18, tylem sobie nazbierał, że się mogłem udać na akademię w Monachium. Tam siedziałem raz wieczór w listopadzie przy szklance piwa. Nagle usłyszałem głos dzwonka i ujrzałem, jak kapłan niósł N. Sakrament do chorego. Kiedyindziej wiele ludzi towarzyszyło kapłanowi cześć oddając P. Jezusowi, tym jednak razem nikogo nie widziałem, śnieg bowiem z deszczem odstraszał każdego. Więc pomyślałem sobie: Jeśli żaden katolik nie idzie, to ja Panu tę cześć oddam. Zostawiłem piwo, i z odkrytą głową postępowałem za kapłanem aż do pewnej wązkiej ulicy, gdzie tenże nim wstąpił do domu chorego, obrócił się, aby według zwyczaju udzielić błogosławieństwa.

Może zdziwiony że mnie samego przed sobą ujrzał, stanął na chwilę trzymając Najśw. Sakrament. Wtedy to zostałem do głębi serca wzruszony, spotkawszy się w ciemnej nocy nagle z tym Panem oko w oko; głośno łkając padłem na kolana, a gdym wstał i samotnym się ujrzałem, postanowiłem mocno zostać katolikiem.

Już nazajutrz poszedłem do kapłana i prosiłem go o naukę.

Jak wychować dzieci w bojaźni Bożej?

Nieraz żali się ojciec lub matka na swe dzieci, mówiąc: „Nic się mnie nie boją“, to znaczy, robią co im się podoba, a słowo ojca i matki za nic sobie mają. Jeżeli źle jest, gdy dzieci ojca i matki się nie boją, to stokroć gorzej jest, gdy się Boga nie boją. Człowiek, który się Boga nie boi, odważy się na wszystko złe. Bojaźń Bożą należy zaszczepiać w serce dziecka od pierwszych lat życia, bo dziecko wychowane bez bojaźni Bożej, bojaźni tej nie nabędzie w życiu późniejszem. Aby dziecko wzrastało w bojaźni Bożej, powinno Pana Boga poznawać, kochać Go i bać się Go obrazić. Jak się tego nauczy? Nauczy się przedewszystkiem wtedy, gdy rodzice sami będą bogobojni. Pan Jezus powiedział: „W tych rzeczach, które są Ojca Mojego, potrzeba, abym był“. Przez te słowa chciał P. Jezus wyrazić to: „Gdzie się rozchodzi o chwałę Bożą, tam Mnie nie może braknąć“. To samo muszą o sobie powiedzieć ojciec i matka. Jeżeli się rozchodzi o bogobojność dzieci, niczego nie mogą zaniedbać. Sami więc powinni przykładnie odmawiać pacierz, dbać o zachowanie postu, niedzielę po chrześcijańsku święcić, obowiązek słuchania Mszy św. w niedziele i święta skrupulatnie spełniać, spowiedź odprawiać i Komunię św. przyjmować nietylko na Wielkanoc, ale bodaj co kwartał. Na nicby się to nie przydało, dzieci napędzać do pacierza, do kościoła i do spowiedzi, jeżeliby się ojciec i matka sami w tych sprawach świętych zaniedbywali.

Gdy dziecko umie mówić, trzeba je nauczyć żegnać się. Gdy podrasta i już co nieco rozumie, należy je uczyć o Bogu. Pokazywać mu obrazki z Dzieciątkiem Jezus, z Matką Boską, Aniołem Stróżem i objaśniać mu je, o ile to dziecko pojąć może. Trzeba często dziecku przypominać, że P. Bóg wszędzie jest, wszystko widzi i wszystko słyszy; że przed P. Bogiem nigdzie się ukryć nie można. Gdy nadejdą święta, trzeba dzieciom powiedzieć, co to za święta są.

W domu ojca mojego obchodzono święta uroczyste, jak n. p. Wielkanoc i Boże Narodzenie z wielkiem przejęciem. Kilka tygodni przedtem już się do tego sposobiono: dom oczyszczono, coś lepszego do jedzenia na święta zachowano, przedtem poszczono surowo, nieraz o świętach wspominano. To też dzieci z radością tych świąt oczekiwały, a gdy nadeszły, zdawało się, że te dni całkiem do innych nie podobne: takie uroczyste, święte, pogodne, a tak serca przepeniające, że człowiek czuł się, jakby do nieba przeniesiony i zdawało mu się, że P. Jezusa narodzonego czy zmartwychwstałego przy sobie czuje i nieledwie widzi. Gdy człowiek w takiem otoczeniu wzrośnie, bojaźń Boża pozostanie w jego sercu zawsze. Dziś po 50 latach z przyjemnością wspominam sobie te dawne chwile i wiem, że bez pobożnego ojca i matki, nie byłoby dotąd bojaźni Bożej w mej duszy.

Gdy dziecko przyjdzie do używania rozumu powinno słyszeć opowiadanie o grzechu pierwszych rodziców, o raju i o karze, jaka ich spotkała; powinno słyszeć o dobrych aniołach i o złych, którzy w piekle wieczną karę ponoszą. Takie opowiadanie utkwi głęboko w sercu dziecka. Nie należy dzieci małych straszyć piekłem, ale ono powinno wiedzieć, że piekło jest i że w ogniu piekielnym potępieni ponoszą wieczne męki. Trzeba dziecko uczyć, że Bóg jest dobrym ojcem, ale Go też słuchać trzeba, bo ktoby Go nie chciał słuchać, tego ukarze surowiej niż ojciec i matka. „Bojaźń Pańska początek mądrości“ — to słowa Pisma św. Jeżeli rodzice zaszczepią w serca dzieci bojaźń Pańską, to dzieciom dadzą więcej, niż majątek największy warta.

Jeśli ci trudno odróżnić prawdziwych ubogich od udanych, lepiej już dawać tym, którzy nie są ubogimi, niż pozbawić pomocy tych, którzy jej potrzebują. (Św. Grzegorz z Nazianzu).

Zgoda łaski z wolną wolą.

Chociażby łaska Ducha św. była nie wiem jak potężna, zawsze jednak wymaga współdziałnia człowieka; wskutek tego w naszej zawsze jest mocy, oprzeć się jej natchnieniom, albo ich usłuchać.

Święty Jan od krzyża, chwała zakonu karmelitańskiego, umarł roku 1591. Skoro wkrótce potem ciało jego przeniesione zostało z Ubedy do Segowii, udzielono cząstkę tegoż bratu Jana, Franciszkowi de Yepes. Dnia jednego, kiedy Franciszek modlił się przed szczątkami brata swego, które były zamknięte w relikwiarzu kryształowym, ujrzał miasto relikwii, obraz swego brata. Podczas gdy ze zdumieniem przypatruje się temu cudownemu obrazowi, ogląda jeszcze większy cud, bo oto widzi N. Pannę z Dzieciątkiem Jezus, a św. Jana klęczącego przed niemi z rękami do modlitwy złożonemi.

Pogłoska o tym cudzie zwabiła mnóstwo osób, które chciały być świadkami tegoż; a każda z tych osób widziała osobny obraz, który się zmieniał, ile razy kto przyszedł obaczyć lub uczcić świętą relikwię. Małe dziatki wołały z radosnem zdumieniem, że widzą małe dzieciątko w objęciach swej matki. Rzemieślnicy, którzy nie wiedzieli, co w sobie zawiera relikwiarz, sprzeczali się między sobą; jedni bowiem utrzymywali, że to jest N. Panna, inni, że to Dziecię Jezus, a inni znowu, że to Ecce homo (Oto człowiek).

Relikwie Świętego znowu na innych miejscach te same zjawiska objawiały, a zawsze pociągały za sobą zbawienne skutki. Między innemi tego rodzaju zdarzeniami, oto jeden, udowodniony przy procesie kanonizacyjnym:

W pewnem mieście hiszpańskiem znajdowały się trzy kobiety złego życia, które razem mieszkały. Proboszcz miejscowy, upomniawszy je kilkakroć, gdy widział, że wszystkie środki gorliwości jego są daremne, udał się do przeora Karmelitów Bosych, prosząc go o radę i modlitwy. Przeor sądził, że najlepiej uczyni, jeśli jednego ze swych zakonników poszle do tych osób, dając mu do pomocy relikwie św. Jana od krzyża.

Zakonnik ten starał się nasamprzód nawrócić zbłąkane te owieczki słowy ojcowskiemi i przekonywującemi; ale mówił do dusz zatwardziałych.

— Jeśli nie chcecie pojednać się z Bogiem — rzekł im nareszcie — czybyście, nie zechciały przynajmniej uczcić relikwii świętego Ojca Jana od krzyża?

— Co to, to chętnie — jesteśmy katoliczkami i czcimy Świętych!

Wtenczas Karmelita wszedł do innego pokoju, złożył relikwie na stole i zaprosił te kobiety jednę za drugą, aby zmówiły pacierz przed świętemi szczątkami. Pierwsza z nich, upadłszy na kolana, zaledwie spojrzała na relikwię z uwagą, tak okropnie pobladła, że ksiądz ją zapytał, czy jej się niedobrze zrobiło?

— Ach — odrzekła wzruszona — ja widzę przed sobą niewiastę, która gorzko płacze pod krzyżem, i trupią głowę: to z pewnością Magdalena, która płacze za swe grzechy. Niech będzie! pójdę w jej ślady.

I odeszła zalana łzami, aby zawołać swą drugą towarzyszkę.

Ta śmiała się z jej łez, obiecując, że więcej pokaże odwagi. Stanęła tedy przed świętemi relikwiami z pewnym rodzajem zuchwałego bezwstydu; ale skoro uklękła, stało się z nią tosamo co z tamtą.

Pozostała trzecia; ta bała się, żeby spełniając akt pobożności, który obiecała spełnić, nie nawróciła się tak, jak jej towarzyszki; użyła swej wolnej woli — nie chciała uczcić świętych relikwii, a wskutek tego oparła się łasce, zatwardziła swe serce i wytrwała w swych zdrożnościach.

Syn nad grobem ojca.

Pewien ubogi młodzian stał nad mogiłą niedawno zmarłego ojca i gorzko płakał. Przed kilku laty umarła mu matka, a teraz utracił ojca. Czując bardzo podwójne sieroctwo swoje, płakał i płacząc mówił:

— Już nie mam ojca! Te ręce co dla mnie i na mnie pracowały, już martwe i zimne, pracować nie mogą; nie widzę już miłego i słodkiego uśmiechu jego, którym mnie rozweselał, gdym się dobrze sprawował; nie słyszę już tego wdzięcznego głosu, płynącego z ust, z których tyle pięknych słyszałem nauk. Już mnie nikt na świecie nie kocha tak, jak mnie kochał mój najlepszy ojciec! O jakżeż to bolesne, nie mieć już ojca i być sierotą!

Tak narzekał sierota i gorącemi łzami grób ojca polewał. Chcąc już odejść, podniósł mimowolnie oczy i obaczy figurę nad mogiłą. Był to Anioł, który jedną ręką wskazywał ku niebu a w drugiej trzymał napis ze słowy: Ojcze nasz, któryś jest w niebie! Słowa te nagle wypogodziły zasmuconą duszę biednego sieroty. Otarł łzy z oczu, złożył ręce i kląknąwszy modlił się z radością:

— Ach, o Tobie, dobry Ojcze, któryś jest w niebiesiech, zapomniałem, a jednak Ty mi jeszcze pozostałeś jako ojciec; Ciebie nigdy nie utracę. Wziąłeś ojca mego do siebie, i na jego miejscu chcesz być moim ojcem. Ty kochasz dzieci ludzkie daleko więcej, niżby ojciec ziemski zdołał kochać dzieci własne. Tyś nam dał Syna swego za brata i przez niego przyjąłeś nas za dzieci swoje. Ojcze, któryś jest w niebiesiech, nie opuszczaj

mnie więc biednego sierotę; bądź odtąd Ty ojcem moim!

Tak modlił się młodzian i uczuł pociechę w duszy; Ojciec Niebieski opiekował się nim, że wyszedł nie na bogatego wprawdzie, ale za to na pobożnego człowieka, który przestawał na małem, a przeto czuł się zawsze szczęśliwym. W późnej już starości często opowiadał innym, jak go modlitwa Pańska w smutku pocieszyła.

Ratunek od śmierci głodowej.

„Błogosławiony, który połączył pożytek z pięknem", powiedział sławny poeta rzymski Horacy. Tak po ludzku sądząc, błogosławiony ten, kto koniec z początkiem łączy, kto tak żyje, tak się urządza, aby mu niczego nie brakowało, aby mu starczyło na całe życie, aby nigdy nie potrzebował cudzej łaski, swej ręki po jałmużnę wyciągać; owszem, który jest tak roztropnym, mądrym, że sobie jeszcze coś na czarną godzinę życia zaoszczędzi. Oszczędność to kapitał, to skarb, to majątek i znaczenie kraju.

Jedni w szczęśliwych warunkach bytu postawieni, żyją lekkomyślnie, płocho, nad stan, bez zastanowienia, bez rachunku, marnują pozostawioną lub zarobioną spuściznę i sami dobrowolnie do ruiny majątku, ubóstwa, nędzy i biedy dochodzą.

Inni znów, przeciwnie, częstokroć sami nie wiedząc nawet dla czego przez wypadki, klęski, stosunki familijne, wojnę itp., lubo sami najoszczędniejsi, najpracowitsi, najzabiegliwsi, poczciwi i zacni, przychodzą do opłakanego majątkowego stanu, a nawet do kompletnej nędzy i biedy; tem też nieszczęśliwsi, że przyzwyczajeni do lepszego bytu, wygód, sami przedtem czyniąc innym dobrze, teraz nie śmieją ręki o jałmużnę wyciągnąć, wstydzą się o wsparcie prosić, wstydzą się żebrać. Ach! bo jakże to przykro i boleśnie, jak okropnie innych o łaskę prosić. Nikt tego nie zrozumie, nie pojmie, chyba tylko ten, kto sam biedy nieszczęścia zażył. Nie daj Boże być nigdy nikomu żebrakiem. A w takiem prawdziwie okropnem i opłakanem położeniu jaki ratunek i rada? Ufność w Bogu i dobroczynność ludzi. Pracowali i oni przedtem czy to na polu nauki, czy rolnictwa, przemysłu, rękodzielnictwa, dla dobra powszechnego, a więc i w nieszczęściu, w upadku mają pewne prawo do tego społeczeństwa, mogą się odezwać i zażądać pomocy od zamożniejszych swych współbraci.

Cześć i uwielbienie świętemu Kościołowi, religii katolickiej i dobremu sercu i miłosierdziu ludzkiemu. Jak gdzieindziej, tak i u nas wytworzyły się i istnieją rozmaite instytucyt i stowarzyszenia dobroczynne dla wspierania i pomocy wszelkiego rodzaju biednych i potrzebujących zwłaszcza dotkniętych bezpośrednio klęskami wojny obecnej. Jaki to wspaniały i przedziwny widok! Rozchodzą się codziennie przezacne Siostry Miłosierdzia po całem mieście, po najrozmaitszych zakątkach, zaułkach, dziurach, suterynach, podziemiach, poddaszach, strychach, gdzie tam ani promień częstokroć się nie przedziera i tam wynajdują wszelkich tego rodzaju biednych i nieszczęśliwych: wyrobników, chorych, starców, wdowy, sieroty, dzieci i przynoszą im słowa pociechy, otuchy, nadziei, a przedewszystkiem materyalną pomoc i wsparcie. I czy może być coś piękniejszego i rzewniejszego na świecie? Byle tylko zawsze miłosierdzie nasze i dobre uczynki były dokonywane bez hałasu, wrzasku, krzyku, poklasku u ludzi, ażeby, jak powiada Zbawiciel, nie wiedziała lewica, co prawica czyni.

W Krakowie mieszkało pewne małżeństwo, para starych i nieszczęśliwych ludzi, przedtem bogatych, zamożnych, a teraz z powodu wojny podupadłych, zostających w najokropniejszej, ostatecznej nędzy i biedzie. Mieszkali w nędznej, maleńkiej ciupie, za którą płacili jednak 120 K. komornego rocznie. Bardzo często kładli się spać na barłogu głodni, a na śniadanie służyło im trochę starych okruchów suchego chleba, który maczali w wodzie. A jednak nie śmieli się do tego przyznać, gdyż byli z dobrej familii, dawniej utrzymywali najświetniejsze stosunki, obecnie losem przywaleni, powoli, sami nawet nie wiedząc kiedy, przyszli do ostatecznej ruiny majątkowej i najokropniejszej biedy. W ostatnim czasie żyli jeszcze ze sprzedaży dawnych swych gratów, rupieci, teraz wszystko już wysprzedali, nie było się kompletnie do czego wziąść a nie mieli nawet ani kawałeczka chleba. Co robić? A była to sobota.

Żona z głodu i zmartwienia ledwie żywa, a mąż leżał już od kilku dni obłożnie chory. Przeszedł tak cały dzień wśród najstraszniejszych boleści, westchnień i jęków; nadeszła noc, a oni nie mieli ani kęska chleba w ustach. Usiedli więc obok siebie zgłodniali, gorzko a serdecznie płacząc. Nadeszła niedziela, nie mają co jeść, a żebrać się wstydzą. Wreszcie wieczorem, po ciemku, żeby ludzie nie poznali, zmuszona ostatecznym głodem, staruszka wychodzi na ulicę, aby coś od przechodzących użebrać. Sili się, przezwycięża ale wszystko napróżno. Ile razy chce żebracze słowo wymówić, tyle razy wstyd zamyka jej usta i nie pozwala ręki wyciągnąć, a więc jeszcze więcej zbolała aniżeli przedtem, do swej skrytki wróciła. Już od dwóch dni nie przyjmowali żadnego posiłku, a więc kompletnie osłabli i omdleli, pot zimny spływał po ich bladych i wynędzniałych licach. „A więc umieramy z głodu, moja droga, kochana żono!" wyrzekł za-

płakany starzec, „Bóg nas już widocznie opuścił, o nas zapomniał“. Żona z żalu i boleści nic na to nie odpowiada, siedzi, jak niema, jak wryta. Dopiero po niejakim czasie, jakby z głębokiego snu ocucona i natchnieniem Bożem poruszona, podnosi omdlałą i zwisłą swą głowę i powiada: „Co ty mówisz, że Bóg nas opuścił, przecież on nawet o najmniejszym robaczku nie zapomina. Jeżeli nie mamy pomocy od ludzi, to się udajmy o pomoc do naszej Matki na niebie; przecież Ona jest pocieszycielką strapionych, ucieczką we wszelkiej potrzebie. Ona nam nie da zginąć; Ona nam dopomoże. Zaczekaj. Przypomniałam sobie w tej chwili, że mamy jeszcze jedną, pozostałą świeczkę, zapalmy ją przed Jej obrazem i pomódlmy się, a ja jestem pewną, że nam przyjdzie z pomocą“.

Jak powiedziała, tak i zrobiła. W ciemności nocnej zaledwie odnalazła świeczkę, zapaliła ją i postawiła przed obrazem Matki Bożej, który im jeszcze pozostał, bo go nikt nie chciał kupić. Tedy uklękli oboje, modlili się i gorzko płakali, że w końcu pomdleli i prawie bez życia na ziemię poupadali. Na szczęście mieszkała naprzeciwko w bocznej oficynie na pięterku jakaś także niezamożna wyrobnica, której dziecko chorowało i w nocy zapłakało. Wstała więc ta niewiasta aby dziecko uspokoić, gdy w tem przypadkowo światło w okienku u staruszków ujrzała. Znała ich tylko zdaleka, — przy spotkaniu to się sobie nawzajem grzecznie ukłonili i pozdrowili — nic więcej i to była cała ich znajomość i przyjaźń. Coś się tam koniecznie u tych staruszków stać musiało, pomyślała ona, że o tej porze świecą, nigdy tego z biedy czynić nie zwykli; widocznie, musieli zachorować, albo co takiego, nie zastanawiając się dłużej, ubrała się czemprędzej, jak mogła, wzięła latarkę w rękę i zeszła do ich mieszkania zobaczyć. Gdy drzwi otworzyła, przedstawił jej się okropny i bolesny widok! Oboje staruszkowie leżeli tam obok siebie na ziemi przed obrazem Matki Bożej prawie bez przytomności — omdleli, bledzi i drżący jak trzcina. Wystraszona i przelękniona wyrobnica pyta się z przerażeniem, co to jest? co się stało? Ledwie dosłyszalnym głosem odpowiadają staruszkowie, że nie mają co jeść, z głodu umierają. Zdjęta litością niewiasta już więcej nie słucha; powraca czemprędzej do siebie, bierze kawałek chleba i rosół, który jej z obiadu pozostał, powraca do staruszków, daje im co przyniosła i tym sposobem ochrania ich od strasznej śmierci głodowej. Nie dość na tem. Udaje się na drugi dzień do Biura Komitetu ratunkowego i opowiada wszystko, co zaszło. Przybywają Siostry Miłosierdzia, udzielają im odpowiedniego wsparcia i czynią łagodne wyrzuty, dlaczego nie zameldowali i nie dali znać o tem do Komitetu. Na szczęście, w kilka dni potem spadł na nich po jakimś dalekim krewnym niewielki majączek i już mają z czego żyć i cudzej łaski nie potrzebują, a nawet i innym dopomagają. O! jakże ochotnie i z radością o tem zdarzeniu opowiadają że ich tylko jedynie ta świeczka zapalona od śmierci głodowej ocaliła, bo gdyby jej byli nie mieli i nie zapalili, to byłaby z pewnością wyrobnica do nich nie zaszła i oni byliby niezawodnie wprzód z głodu pomarli, niżeli zapomogę, a następnie i majączek otrzymali. Chwalebny to wielce i piękny jest zwyczaj, aby w każdym domu katolickim znajdował się obraz Matki Bożej i przed nim, przynajmniej w sobotę, paliła się lampka.

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.